

LEON DURKA DALTONISTA



Leon Durka

DALTONISTA

Leon nie odczuwał emocji, choć często uczestniczył w wydarzeniach, które niejednego twardziela by złamały. W jego mózgu, obszary odpowiedzialne za pojawianie się strachu nie były aktywne. Siedział przy stoliku w kawiarence, naprzeciwko rosnącego mężczyzny przebranego za kobietę. Suknia w futurystyczne wzory, luźno zawiązana na obfitej tali i ogromna peruka z wplecionymi wstążeczkami sprawiały, że postać transwestyty wydawała się jeszcze większa. Pod stolikiem znajdował się przymocowany do blatu pistolet, na którego cynglu opierał się palec wskazujący z długim, lśniącem paznokciem. Broń skierowana była w Leona. Obaj rozmówcy wiedzieli o tym. Zdawali sobie również sprawę z faktu, że jeden nagły ruch wyzwoli z lufy pocisk o średnicy prawie trzynastu milimetrów.

Impulsem do użycia broni nie musiał być nagły ruch. Mogła to być decyzja o likwidacji młodego mężczyzny o jasnych, krótko obciętych włosach i niebieskich oczach.

Leon, choć w pełni był świadomy zagrożenia, ignorował niebezpieczeństwo. Część mózgu mężczyzny utraciła swoje funkcje po traumatycznych przeżyciach. Według diagnozy biegłego psychiatry, uszkodzenie mogło być trwałe.

Z okresu swojej służby w wojsku wielu wydarzeń nie pamiętał. Zaciągnął się jako najemnik z braku

innych perspektyw – tak swoją decyzję tłumaczył wszystkim znajomym, ale tak naprawdę chciał się sprawdzić. Potrzebował adrenaliny i liczył na to, że wypełni jej braki w najemnym wojsku. Nie pociągały go sporty ekstremalne, czy próby bicia rekordów, choć jako lekkoatleta miał duże szanse na zrobienie kariery. W biegu na tysiąc pięćset metrów zakwalifikował się na mistrzostwa kraju, zajmując ostatecznie czwarte miejsce wśród seniorów, co było nie lada wyczynem dla człowieka bez przygotowania.

Potrzebował adrenaliny z pola walki. Jednakże w żadnej potyczce nie dane mu było wziąć udziału. Podczas służby w Rwandzie, pewnego wrześnieowego, deszczowego dnia, wraz z lokalnym przewodnikiem Ramzesem, wiózł zaopatrzenie do swojej jednostki. Bezmyślnie przesunął wzrok po ścianie zieleni, gdy je-epem nagle zarzuciło. Zatrzymali się. Pod kołami znaleźli martwe dziecko. Chłopiec był martwy już w momencie, w którym dwie silne ręce cisnęły jego ciałem pod koła pojazdu, ale o tym mężczyźni nigdy się nie dowiedzieli.

Transwestyta przekazał Leonowi kopertę z instrukcją, po czym badawczo patrząc mu w oczy, zadał pytanie, które nie zawierało na swoim końcu znaku zapytania:

- Co czujesz po zabiciu człowieka.
- Nic – padła szybka odpowiedź.

I na tym zakończyli spotkanie. Usługodawca przyjął zlecenie, zaś pośrednik upewnił się, że zadanie zostało przekazane do realizacji profesjonalście.

Zadanie wydawało się łatwe do wykonania i takie było. Poprzedniego dnia obejrzał miejsce akcji i ocenił ryzyko. Nie znalazł zagrożeń mogących zakłócić opracowany w szczegółach plan.

Pociąg właśnie dowiózł do stacji metra Centrum, kilkaset osób, które unoszone na stopniach ruchomych schodów zbliżały się do wyjścia. Stacja Centrum zlokalizowana jest w sercu Warszawy. Bliskość dworców kolejowych sprawia, że przez większość dnia bywa zatłoczona. Ludzie docierający do stolicy pociągami, dalej podróżują zwykle podziemną kolejką. Wśród pasażerów pojawił się mężczyzna, ubrany w długi, jasny płaszcz i brązowy kapelusz.

Leon precyzyjnie przesunął się pomiędzy dwoma idącymi wolno kobietami i znalazł się w odległości nie większej, niż półtora metra za obiektem swojego zainteresowania. Podniósł na wysokość łokcia torbę z logo McDonalda, po czym dwukrotnie nacisnął na spust. Ofiara runęła na chodnik. Po chwili leżącym ciałem wstrząsnął jakby nerwowy spazm. Kapelusz zsunął się na owinięty jedwabnym szalikiem kark, a na betonowych płytach pojawiła się szybko rosnąca czerwona plama.

Kilka osób zwróciło uwagę na bezwładnie leżącego człowieka. Najbliżej stojąca kobieta, gdy zdała sobie sprawę z sytuacji, zaczęła panicznie krzyczeć.

Leon zmiął górę papierowej torby zawierającej pistolet i wrzucił ją do pobliskiego kosza. Zdjął lateksową rękawiczkę, włożył ją do kieszeni kurtki i skierował się do podziemnego przejścia, prowadzącego na drugą stronę Alej Jerozolimskich. Po drodze zdjął z głowy i schował do reklamówki bejsbolową czapkę i okulary. Torbę upchnął w koszu w podziemiach.

W pobliskiej toalecie odkleił sztuczną brode, wrzucił do sedesu i spuścił wodę. Kurtkę przełożył na lewą stronę. Teraz był nie do rozpoznania.

Napastnicy byli z plemienia Hutu. Niewysocy, o krępej budowie ciała. Działali szybko i z zaskoczenia. Żaden z pasażerów jeepa, który zatrzymał się, uderzając w drzewo, nie zdążył podjąć walki. Wyciągnięci z samochodu, zostali zawleczeni na obrzeże lasu i zmuszeni do wypicia płynu o słodkawym smaku. Skrępowani konopnymi linami, wkrótce zapadli w głęboki sen.

Znajdował się na wysokości wybudowanego w 1913 roku hotelu Polonia. Zaraz po otwarciu, hotel oferował swoim gościom nowości: centralne ogrzewanie, biurka z maszynami do pisania, ogniotrwałe sejfy oraz telefon zainstalowany we wszystkich stu sześćdziesięciu pokojach. Wybudowany został w stylu „paryskim”. W restauracji obsługiwali francuscy kelnerzy. Styl czterogwiazdkowego, posiadającego obecnie dwieście sześć pokoi hotelu pozostał niezmienny do dnia dzisiejszego.

Otrząsnął się zamyślenia. gdy nadjeżdżający z przeciwka, policyjny samochód zatrzymał się z piskiem opon. Sygnały świetlne odbijały się w sklepowych wystawach. Syrena, choć wyciszona, nadal wydawała z siebie basowe dźwięki. Przechodnie odwracali z zaciekawieniem głowy. Z samochodu wysiadł ubrany po cywilnemu, średniego wzrostu, dobrze zbudowany mężczyzna. Skierował się w stronę Leona. Było mało prawdopodobne, że to właśnie on jest obiektem zainteresowania, ale ostrożności nigdy za wiele. Zabójca bez chwili wahania otworzył

oszkłone drzwi i wszedł do rozległego holu. Mężczyzna podążył za nim.

Przeszedł obok recepcji. W przelocie spojrzał na młodą kobietę, która kręcąc się na obrotowym krześle, pochłonięta była obrazem na ekranie smartfona. Po lewej stronie recepcji znajdował się korytarz prowadzący do toalet, zaś na wprost, wejście do restauracji, w której serwowano śniadanie. Leon, po krótkim namyśle, pchnął wahadłowe drzwi. Otulił go zapach świeżej kawy i pieczonych rogalików.

...

Komisarz Wiktor Trak kątem oka zobaczył mężczyznę wchodzącego do restauracji. Pomyślał, że gdyby nie obowiązki, z chęcią napiłby się aromatycznej kawy. Na miejscu przestępstwa już była policja i nie musiał się spieszyć. Dla kogoś nie znającego sposobu prowadzenia śledztwa przez komisarza, jego obecność na miejscu morderstwa mogłaby być odebrana jako kurtuazyjna. Pozornie nie zwracał uwagi na szczegóły. Zauważał jednak więcej od policjantów, którzy zjawiali się na scenie zdarzenia wcześniej, a jego doświadczenie pozwalało mu na dość szybkie rozwiązywanie wielu kryminalnych zagadek. To dlatego tę sprawę przydzielono właśnie jemu i jego zadaniem było znalezienie mordercy.

Skierował się do toalety. Stanął nad pisuarem i po chwili poczuł ulgę. Pomyślał, że leczenie nadciśnienia za pomocą środków moczopędnych ma swoje minusy. Pozostałe zalecenia lekarza były niemożliwe do zrealizowania. Nie wchodziło w rachubę: niedenerwowanie się, rezygnacja z alkoholu, czy bezsolna

i bezmięsna dieta. Zmobilizował się jedynie do ćwiczeń fizycznych i codziennego przyjmowania pastylek. Rano podłużnej, na wieczór okrągłej. Nawet nie pamiętał ich nazw.

Współpracownik, aspirant Jan Murat, był od komisarza o ponad dziesięć lat młodszy i dwadzieścia pięć kilogramów cięższy. Zachowywał się podobnie, jak Wiktor dwadzieścia lat temu. Nie dbał o zdrowie. Palił, pił dużo piwa i żywił się czym popadnie. W wieku trzydziestu kilku lat miał nadwagę i perspektywę cukrzycy, nadciśnienia i wylewu. Uwagi szefa na temat zdrowego trybu życia i żywienia puszczał mimo uszu.

Aspirant, w towarzystwie kilkunastu mundurowych, czekał na swojego szefa przed wejściem do metra pilnując, aby nikt nie zbliżył się do miejsca zbrodni.

Wiktor odebrał telefon, wydający dość nieprzyjemne dźwięki. Ustawił taki sygnał, aby lepiej go słyszeć. Mimo to, za każdym razem, kiedy aparat się odzywał, wprawiał go w rozdrażnienie.

– Szefie, czekamy na twoje przybycie – zdyszany głos aspiranta świszczał w słuchawce. – Słyszę jakby wycie syreny, ale chyba stoisz w korku, czyżby jako pierwszy...? – dodał zgryźliwie.

– Miałem nagłą potrzebę. Myślę, że będąc tak doświadczonego śledczym, zdążyłeś obejrzeć już ciało. Zgaduję, że tymczasem niewiele możesz mi przez telefon przekazać.

– A owszem, mam kilku podejrzanych, motyw i całą resztę. Do południa raport będzie gotowy i sprawę zamkniemy.

Złośliwa odpowiedź nie zdziwiła komisarza. Pewnie znów ma niedosyt śniadania, pomyślał. Minoro-

wy nastrój grubasa, to wynik braku odpowiednio dużej kanapki.

...

W restauracji zajęte były tylko trzy stoliki. Leon usiadł na miękkiej kanapie pod ścianą. Zaczął obserwować obszerną salę. Na ścianach wisiały trzy reprodukcje obrazów Jacka Malczewskiego z cyklu „Zatruta studnia”. Każda nad miejscem, gdzie obecnie siedział przy stoliku restauracyjny gość. Pod płótnem obrazującym młodą, rozpartą obok cembrowanego wiadra dziewczynę, siedziała elegancko ubrana, ładna blondynka. Kobieta trzymała przed sobą kolorowy magazyn ze zdjęciem modelki na okładce. Wpatrzona była gdzieś w przestrzeń, jakby nieobecna.

Nad łapczywie jedzącym jajecznicę, otyłym księdzem wisiało dzieło przedstawiające dojrzałą matronę o obfitych kształtach. Bawiła się swoimi włosami, w których tkwiło duże pióro. Jakby zwlekała z włożeniem wiadra do studni. Duchowny i matrona byli do siebie podobni, obydwójce z nieposkromionym apetytem.

Trzeci stół okupowany był przez niepozornego, ubranego w szare spodnie i beżowy sweter mężczyznę. Pochylony był nad kieliszkiem koniaku. Nad nim wisiał obraz „Zatruta studnia V” – ręce mężczyzny skute kajdanami, obok wiadro, za nim dzban, należący do niemłodej już kusicielki.

Policjant nie pojawił się. Leon mógł już bez obaw opuścić hotel.

...

Podłoga lobby zadrżała, jakby w pomieszczeniu poniżej uruchomiono dużą maszynę, której wibracje przeniosły się na marmurowe płyty. Pod lobby jednakże nie znajdowały się żadne urządzenia – był tam tylko magazyn pościeli.

Wiktor zauważył leżącą na betonowej płycie chodnika lateksową rękawiczkę. Odruchowo podniósł ją i wrzucił do kosza. Schylając się po nią, ucisnął pięcherz. Za pół godziny będzie zmuszony powtórzyć fizjologiczny rytuał. W tej samej chwili, dziwny pomruk zmusił go do odwrócenia się w kierunku hotelu. Powietrze na kilka sekund wypełnił dźwięk podobny do grzmotu wyładowania atmosferycznego. Budynek drgał, jakby dostał dreszczy. To, co zobaczył po chwili, wprawiło go w osłupienie. Czyżby odrobina lateksu wrzucona do metalowego pojemnika spowodowała reakcję kaskadową? Efekt motyla? Nie, to tylko czysty przypadek, ale tak mogłoby się wydawać.

...

Tubylcy szli szeregiem w kierunku wioski. Wyczerpani więźniowie ze spętanymi kończynami z trudem przedzierali się przez gęszcz zielonej dżungli. Podążali w kierunku wioski. Zostali porwani dla okupu, bądź na wymianę za uwięzionych przez siły rządowe bojowników. Agresja Hutu do plemienia Tutsi, pomimo dawno zakończonych działań, nadal nie wygasta. Półtora miliona ofiar śmiertelnych po obu stronach konfliktu i setki tysięcy sierot. Dzieci uzbrojone w karabiny ma-

szynowe, zabijające inne dzieci – to już historia. Na pograniczu Demokratycznej Republiki Konga i Rwandy pozostawały nadal partyzanckie ugrupowania, które wciąż realizowały plan „plemiennej zemsty”. Pod tym hasłem, najczęściej kryła się chęć zysku.

Gorączkowo szukał możliwości ucieczki. W miarę, jak posuwali się w głąb lasu, szanse na uzyskanie wolności malały. Wyszli na polanę porośniętą wysoką trawą i nagle zatrzymali się, wpadając jeden na drugiego. Ukazał im się widok mrozący krew w żyłach. Do trzech wbitych w ziemię pali przywiązane były trzy martwe, pozbawione głów ciała. Dwóch Murzynów i jeden Biały. Kolejne pale czekały na swoje ofiary.

...

Na oczach Wiktora, fragment prawego skrzydła potężnego budynku hotelu Polonia zapadał się pod ziemię. Z głuchym pomrukiem zniknął parter, pierwsze, drugie a następnie trzecie piętro. Pozostałe dwie kondygnacje zwieńczone półokrągłym dachem ze srebrzystej blachy pozostały nad powierzchnią. Popękane, metalowe płachty nastroszyły się, przypominając oderwane od ciała ryby, ogromne, niekształtne łuski. Budynek drgnął i przekrzywiwszy się lekko w kierunku ulicy Marszałkowskiej, zastygł w bezruchu.

Chodnik opustoszał. Przechodnie uciekli w popłochu, pozostawiając na miejscu zdarzenia zaskoczono- go policjanta i tumany kurzu.

Jezdnia popękała, uniemożliwiając jakikolwiek ruch. Kierowca samochodu zaparkowanego nieopodal, przeskakując przez powiększające się z każdą

chwilą szczeliny, pobiegł w kierunku Pałacu Kultury i Nauki. Pobliskie tory tramwajowe uniesione do góry przypominały bardziej zminiaturyzowaną trasę kolejki rollercoaster niż szlak ruchu szynowego. Koła radiowozu zapadły się, a pojazd osiadł na powierzchni podwoziem. Syrena zamilkła i tylko światła rozbłyskując rytmicznie, nadal wskazywały, że samochód, choć już tylko teoretycznie, ale nadal uczestniczy w akcji.

Podłoże drgnęło po raz kolejny. Komisarz zdecydował wycofać się w bezpieczne miejsce. Centrala powiadomiła już jednostki straży pożarnej, odpowiedzialnej za zorganizowanie akcji ratunkowej.

– Skoro nie mam tu nic do roboty, zajmę się swoją sprawą – powiedział do siebie, wzruszając ramionami.

Szedł szybkim krokiem, sprawnie przeskakując pęknięcia powstałe w asfalcie. Podążał do miejsca zabójstwa. Kolejna zagadka do rozwiązania w jego długoletniej karierze. Za chwilę obejrzy trupa człowieka, który komuś zaszkodził. Może winny był pieniądze, może nie wywiązał się z zadania, a może był kochankiem żony jakiegoś zazdrosnego męża. Mógł też zginąć przypadkiem z rąk szaleńca, który zabił, by uspokoić skołataną nerwy. Pechowiec? A może szczęściarz, wyzwolony z kajdan współczesnego świata, pełnego niezrozumiałych zależności.

– Mogłem być już na emeryturze... – pomyślał. Poprzedni Minister Sprawiedliwości wyróżnił go, dekorując Srebrnym Medalem za Zasługi dla Policji i przyznając podwyżkę. Dodatkowe wynagrodzenie nie było istotne wobec faktu, że nadinspektor nie miał innego wyjścia – musiał przedłużyć mu służbę.

Praca w Wydziale Kryminalnym Komendy Sto-
łecznej Policji w Warszawie dla Wiktora nie była ani
ciężka, ani stresująca. Traktował śmierć człowieka,
zadaną rękami innego w kategorii łamigłówki mają-
cej rozwiązanie. Bez emocji. Tylko taka postawa da-
wała szansę wysokiej skuteczności wykrycia spraw-
cy. Jeżeli zabójcą był pospolity przestępca, prędzej
czy później, zostawał ujęty. Trudniej było z amato-
rami, dewiantami, którzy mord traktowali jako rytu-
ał. Doskonale planowali akcję. Wszystkie szczegóły
były przemyślane, ślady zatarte, a motyw niewiado-
my. Ale i tacy trafiali w ręce doświadczonego śled-
czego. Pomagała mu w tym intuicja. Trudny do okre-
ślenia zmysł, którego podstawą były doświadczenia
zbudowane na fundamencie pewnego rodzaju prze-
czucia. Potrafił godzinami leżeć na łóżku i w środku
nocy przeprowadzać analizę sytuacji. Kolejny raz i
kolejny, wielokrotnie wracał do hipotez, odrzucając
je, bądź utwierdzając się w przekonaniu, że podąża
właściwą drogą. Robił to automatycznie i skutecznie.
Widział to, czego nie dostrzegali inni i składał w jed-
ną całość elementy łamigłówki w sposób jemu tylko
właściwy. W środowisku detektywów nazywano do
„Jasnowidzem”.

...

Kobieta miała przerażenie w oczach. Próbowwała
krzyczeć, ale głos utkwiał jej w gardle. Kurczowo trzy-
mała się oparcia krzesła, jakby miało być stabilną
podporą. W sytuacji, gdy wszystkie sprzęty restaura-
cji wciąż zmieniały swoje miejsce, instynkt samoza-
chowawczy odpowiedział jej, co ma robić. Po chwili

usiadła obok ściany, silnie ściskając rurę doprowadzającą wodę do grzejnika. Dzięki temu zminimalizowała prawdopodobieństwo wystąpienia urazu.

Ksiądz, ubrudzony jajeczną, bezwiednie wodził wzrokiem po ścianach, łapiąc nerwowo powietrze. Wymachiwał przy tym rękoma, jakby próbował uchwycić przedmioty, które mogłyby w niego uderzyć. Nic jednak w kierunku duchownego nie poleciało. W pewnym momencie stracił równowagę i upadł na podłogę, wydając przy tym głośny jęk.

Mężczyzna siedzący nad lampką koniaku nawet nie drgnął. Podczas, gdy meble przemieszczały się wokół niego, on siedział nieruchomo na krześle, opierając ręce na blacie stołu. Skupiony nad lampką wybornego trunku, jakby medytował, przytrzymując kieliszek. Kiedy wstrząsy ustały, spokojnie dopił jego zawartość.

Leon chłodno analizował sytuację. Poza czekaniem, nie pozostawało nic do zrobienia. Wyłączył myślenie.

Wstrząsy ustały. Pomieszczenie restauracji znalazło się niemal dziesięć metrów pod ziemią. Znajdujący się w nim ludzie byli w pułapce. Trakcja elektryczna nie została zerwana, dzięki czemu nie siedzieli w ciemnościach. W środku przekrzywionej nieco podłogi pojawił się trzymetrowej średnicy otwór. Obrazy pozostały na ścianach. Wisiały przekrzywione, będące jakby alegorią tego, co właśnie się wydarzyło.

Kobieta nadal była przerażona. Rozglądała się nerwowo, nie wiedząc, co ma ze sobą zrobić. Ostatecznie podniosła przewrócone krzesło i usiadła na nim. Na ładnej, owalnej twarzy nie pojawił się żaden grymas. Stan zagubienia obrazowały jedynie krople

łez, które zatrzymywały się na chwilę na kształtnym podbródku, by kontynuować swoją drogę w dół, ku podłodze.

Ksiądz używając serwetki, rozmażywał jajecznicę na sutannie. Żółtawa plama z każdą chwilą powiększała się, ale będący w szoku kapłan nie zwracał na to uwagi. Bezmyślnie kontynuował swoją czynność.

Mężczyzna od koniaku w tym samym czasie przeszedł na zaplecze baru, by po kilkunastu sekundach pojawić się z butelką Martella w ręku. Wyciągnął korek i wypił potężny łyk, po czym zwrócił się do księdza:

– Zdaje się, że potrzebujemy cudu, a to tylko ty możesz załatwić.

– Cudu... – stęknął kapłan. – I ja mam to załatwić...

– Nie śpiesz się zbytnio. Mam okazję napić się na koszt firmy, a to nie zdarza mi się za często – i wybuchnął głośnym śmiechem.

Leon nie zwracał uwagi na ludzi wokół siebie. Musiał przemyśleć plan działania. Aby wydostać się z pułapki, trzeba sprawdzić, czy istnieje droga prowadząca na powierzchnię. Mogła to być klatka schodowa. Drugą alternatywą był otwór w podłodze. Wyczuwał, że pod ogromną dziurą jest pusta przestrzeń, więc zdecydował się poczekać kilka kolejnych minut. Chciał mieć gwarancję, że osiadanie budynku zakończyło się.

Wstał i podszedł do drzwi. Gdy je otworzył, zobaczył marmurową płytę wypełniającą całą futrynę. Jedyną nadzieją pozostawał otwór w podłodze. Z czełuści wyczuł nieprzyjemny, chociaż niezbyt silny zapach rozkładających się związków organicznych.

Pochylił się, próbując zobaczyć cokolwiek w dole. W tym samym momencie mężczyzna pijący koniak

zatoczył się i potknął. Broniąc się przed upadkiem, pchnął Leona w kierunku ziejącego czernią otworu.

...

Odległość między palami wynosiła mniej niż metr. Okorowane, śliskie pnie drzew nie dawały oparcia. Ciała więźniów wisiały na zdrętwiałych rękach. Dłonie przywiązano do poprzecznie zamocowanych nad ich głowami drągów. Działanie narkotyku ustąpiło i ból nadwerężonych ramion dawał się we znaki.

Przez mgłę zlanych potem oczu zobaczyli zbliżającego się Murzyna. Ubrany był w wypłowiały od słońca, jasnozielony mundur. Wyglądał na dowódcę grupy. Za nim szło dwóch czarnoskórych, rozebranych do pasa mężczyzn. Każdy z nich niósł maczetę.

Dowódca stanął naprzeciw białego żołnierza i długo patrzył mu w oczy. Nie bał się kontaktu wzrokowego. To utwierdziło legionistę w przekonaniu o dużej sile charakteru lokalnego kacyka. Gdyby nie siła psychicznej perswazji, nie utrzymałby on w ryzach na wpół zdziczałych, od wielu lat żyjących w lesie, bezwzględnych współplemieńców. Moralność tu nie istniała. To, co stało się dla nich wyznacznikiem działania, to osiągnięcie celu i wykonanie rozkazu, niezależnie od liczby ofiar i przyczyny uśmiercania. Nikt z tych ludzi nie myślał kategoriami winny czy niewinny.

Choć rygor był podstawą funkcjonowania grupy, komendant czasem pozwalał swoim podwładnym na zaspokojenie podstawowych, w praktyce zwierzęcych potrzeb. Zabraniał bezmyślnych zabójstw i gwałtów. Każde działanie musiało być przemyślane. Aby wyzwolić nagromadzone emocje, raz w miesiącu zabierał grupę

do miasta, gdzie zajmowali cały burdel i bar, nie płacąc za nic. Mając do dyspozycji kobiety i alkohol, urządzali orgie, które nawet najbardziej doświadczony kurtyzany wprawiały w osłupienie. Brali bez pytania to, na co akurat mieli ochotę. Rzecz jasna, za zgodą właściciela, który łaskawie pozwalał im na wszystko, traktując ten zabór jako swoisty podatek. Dawało to gwarancję bezpieczeństwa przez kolejnych kilka tygodni.

Kolejna wyprawa do miasta zaplanowana była za cztery dni. W oddziale dawało się wyczuć atmosferę pewnego zaniepokojenia.

Dowódca podniósł maczetę, przyłożył do szyi najemnika, po czym wziął zamach i z całej siły wyprowadził cios. Ogromne ostrze ze świstem przecięło powietrze. Legionista zacisnął zęby. Zdążył jeszcze pomyśleć, że mógł skończyć gorzej, przez wiele godzin, a może nawet dni znosząc ból wyrafinowanych tortur. Szybka śmierć miała nadejść w ułamku sekundy. Nie bał się. Po chwili nastąpiła ciemność.

...

Wiktor przepchnął się przez stojących wokół gapiów. Pokazał legitymację jednemu z policjantów tworzących zabezpieczający kordon i podniósł tasma z napisem „POLICJA”. Kucnął nad ofiarą w lekkim rozkroku.

Gapiów było stosunkowo mało, jak na miejsce, przez które w każdej minucie przechodzi kilkaset osób. Większość wybrała miejski pejzaż z częściowo zapadniętym budynkiem Polonii.

Patrzył na denata w milczeniu. Nikt mu nie przeszkadzał. Starał się wyobrazić sobie okoliczności

morderstwa. Mężczyzna wyszedł ze stacji metra i idąc w tłumie, skierował się ku schodom prowadzącym na Plac Defilad.

Podczas budowy Pałacu Kultury i Nauki, w 1955 roku wydzielono dość duży obszar, który, jak sama nazwa wskazuje, był świadkiem kolejnych defilad w czasach demokracji ludowej, błędnie nazywanej komunizmem. Na jednym z wieców zgromadziło się tu, blisko trzysta tysięcy ludzi. Do władzy doszedł wówczas Władysław Gomułka, który podczas emocjonalnego przemówienia dał ówczesnym obywatelom PRL-u nadzieję na lepsze życie.

Pasażer metra jednakże nie dotarł do rozległego placu. Ktoś, zapewne idący za nim, wyciągnął broń i strzelił dwukrotnie w plecy ofiary. Kule przeszły przez płaszczyznę w okolicach serca. Miejsce sprzyjało mordercy. Mała przestrzeń, tłum spieszących się ludzi, to czynniki, które pozwoliły na wykonanie zadania w sposób niezauważalny.

– Zgaduję, że nie mamy żadnego świadka zajścia – zwrócił się do najbliższego stojącego policjanta.

Tak, jak przypuszczał, nikt nic nie widział i nie słyszał. Osoba, która dokonała zamachu, musiała być zawodowcem. Oddanie kolejnych dwóch strzałów dawało sto procent szans na sukces. Otaczający miejsce tłum był dobrym parawanem. Istniało pewne prawdopodobieństwo amatorszczyzny i przypadku. Do wykonania takiego zadania potrzebna jest zimna krew. W przypadku niepowodzenia, zamachowca czeka sąd i długoletnie więzienie. Mimo zagrożenia wysoką karą, emocje niekiedy biorą górę nad rozsądkiem. Aby ostatecznie odrzucić ten wątek, komisarz musi sprawdzić wszystkie poszlaki.

Odpowiedzieć na pytanie, czy denat miał wrogów? Pozostawała jeszcze akcja szaleńca. Ludzie obłąkani dokonujący zabójstw, najczęściej robią to w sposób demonstracyjny. Chcą zwrócić na siebie uwagę. Samo pozbawienie życia ofiary, to dla nich zbyt mała nagroda. Opinie psychologów nie potwierdzają tej teorii, ale gdyby Wiktor słuchał rad teoretyków... Ale nie słuchał. Pozostawał wierny swej intuicji.

Przy szyi denata opalizowała w porannym słońcu plama krwi. Wiktor schylił się i odsunął kapelusz zasłaniający kark mężczyzny. W potylicy zauważył zasklepiony skrzepem otwór – wlot po kuli. – Czyżby dwa strzały w serce nie wystarczyły? – pomyślał. Upewnił się w przekonaniu, że zabójca to profesjonalista. W tym momencie wyeliminował amatora i szaleńca z gry.